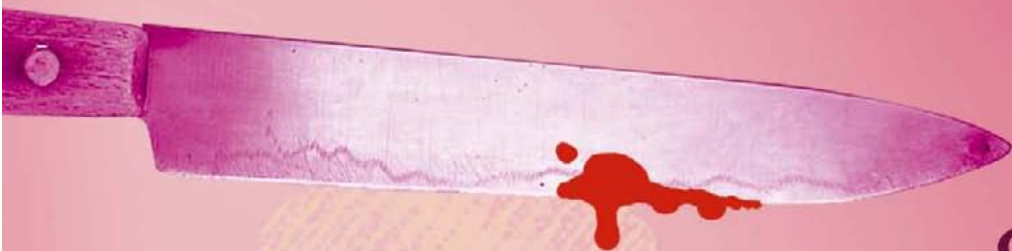


*T*RENA MATUSZKIEWICZ
seryjny
narzeczony



*T*RENA MATUSZKIEWICZ

(ur. 1945) – ukończyła filologię polską
na UMK w Toruniu oraz
dziennikarskie studia podyplomowe
na UAM w Poznaniu.

Pracowała jako dziennikarka
w tygodniku regionalnym „Kujawy”.

Obecnie zajmuje się
twórczością literacką.

Wydała powieści:

AGENCJA ZŁAMANYCH SERC (2002),
GRY NIE TYLKO MIŁOSNE (2002),
DZIEWCZYNY DO WYNAJĘCIA (2003),
SALONOWE ŻYCIE (2004).



*J*RENA MATUSZKIEWICZ
seryjny
narzeczony

Baśka szykowała śniadanie. Uwijała się cicho i prawie żadne hałasy nie docierały do pokoju. Prawie żadne, chociaż wiadomo było, że odgłos czajnika na pewno dotrze. Baśce nigdy nie udało się w porę ściągnąć gwizdka, zawsze była gdzieś dalej niż przy kuchence i chwilę trwało, zanim roz-wścieczony pisk przeszedł w głuche pomruki zakończone błogą ciszą. To wystarczyło, żeby w pokoju obok Łucja gwałtownie przeskoczyła ze snu w jawę. Zazwyczaj leżała, rozmyślając, czy warto zacząć dzień od gimnastyki. Każdego ranka okazywało się, że nie warto, więc ograniczała cały wy-siłek do rozplanowania najbliższych zajęć: co zrobić, gdzie iść, do kogo zadzwonić.

Tego dnia czekało ją spotkanie z Oskarem. Nie widzieli się od czasu wielkiej awantury zakończonej rozstaniem. Odegrali wtedy niezłe przedstawienie, zakończone prawie happeningiem z udziałem rozbawionych przechodniów. Ona szła ulicą Długą, unosząc cały swój ruchomy dobytek, czyli plecak, poduszkę, koc i laptop, on wisiał w oknie szóstego piętra i krzyczał na cały głos: „Jeszcze pożałujesz!” Tyle zapamiętała, chociaż krzyczał dużo więcej, jakby chciał po-informować wszystkie panny między Długą i aleją Solidarności, że oto zostaje w mieszkaniu sam, przystojny i do wzięcia. Mijając pawilon Pizza Hut, wciąż słyszała jego głos,

a wokół widziała zadarte głowy ludzi. Na szczęście to Oskar był gwiazdą widowiska, nie ona.

Od tamtego dnia minęły trzy miesiące. Nie żałowała, że odeszła, żałowała, że zrobiła to tak późno. Zmarnowała cztery długie lata. A może nie zmarnowała, może właśnie wydołęła przy nim i nabrała odporności. Baśka powiedziała mądrze: „Potraktuj go jak szczepionkę przeciwko zdzieliniałym facetom, a wtedy te cztery lata nabiorą terapeutycznego sensu”. Kupiła pomysł, przestała się bocyć i nawet raz czy dwa pogadała z nim przez telefon. Powiedzieli sobie wszystko, co się mówi w takich okolicznościach, to znaczy, że było, minęło, nie czas żałować róż, i tak dalej, i że zamiast do siebie strzelać, lepiej zostać przyjaciółmi. Nie paliła się przesadnie do tej nowej przyjaźni, ale też nie zdziwiła się, kiedy nieoczekiwanie zadzwonił wczoraj. Gdyby zapraszał ją na zwykłą, towarzyską pogawędkę, powiedziałyby: „Wypchaj się, facet, nie zwracaj głowy”. Nie była ciekawa pogawędek z Oskarem. Przez cztery lata rozgryzła go jak pestkę i dobrze wiedziała, jak niewiele miał do powiedzenia. Lecz tym razem Oskar nie uderzał w ton liryczny, tylko od razu przeszedł do sedna sprawy: „Oczywiście słyszałaś, że kręcę film?” – spytał i natychmiast dodał: „Dzwonię, bo mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia. Zawodową, ma się rozumieć. Spotkajmy się w naszej herbaciarni”. Nie liczyła na wielkie rewelacje, ale rozpierała ją ciekawość, co też on nazywał propozycją nie do odrzucenia. Byli więc umówieni w „Samych fusach”, przytulnym lokalu na pięterku, gdzie od czasu do czasu spotykała się cała paczka.

Bez żadnych powodów, ot, tak sobie pomyślała, że to będzie udane przedpołudnie. Niestety, optymizm nie zaradził senności. Wchodząc do kuchni, ziewała jak hipopotam.

– Zrobisz dzisiaj zakupy? – spytała Baśka.

Przeglądała notatki o chorobach przewodu pokarmowego, kończyła jeść śniadanie i już myślała o kolacji. Miała wyjątkowo podzielną uwagę, potrafiła robić kilka rzeczy naraz, i to z dobrym skutkiem. Gdyby nie czekał ją ciężki dzień na uczelni, sama kupiłaby coś do jedzenia. Niemrawe „aha” Łucji zginęło w szerokim ziewnięciu.

- Królestwo za filiżankę kawy! - jęknęła.

- A skąd ty weźmiesz królestwo, zaspana sieroto? - roześmiała się Baśka. Zdążyła już sprzątnąć po śniadaniu i zwinąć notatki. Stała w drzwiach gotowa do wyjścia.

- Nie mamy kawy? - wychrypiała Łucja.

- Nie mamy kawy, królestwa i paru innych rzeczy. Na stole zostawiłam ci listę tego, czego nam brakuje.

Cicho stuknęły drzwi. Łucja opadła na krzesło. Dochodziła ósma. O dziesiątej powinna być już na Nowomiejskiej, a przecież musiała umyć głowę i zrobić się na bóstwo. Oskar co prawda przestał się liczyć, przynajmniej dla niej, lecz kobieta duma nakazywała, by zobaczył ją piękniejszą, niż zapamiętał. Ledwie otworzyła drzwi do łazienki, zabrzączał dzwonek. Mogła spodziewać się sąsiadki, listonosza, w ostateczności nawet Oskara, ale nie Gołąbkowej.

Na widok właścicielki mieszkania poczuła lęk pomieszany ze złym przeczuciem. Szacowne babsko, zwane przez swoje lokatorki niezbyt pieszczotliwie pokemonem, zjawiało się raz w miesiącu, żeby ponarzekać na drożyznę, obgadać znajomych i odebrać pieniądze za wynajęcie lokalu. Na rozliczenia było za wcześnie. Gołąbkowa zwykle wpadała pierwszego, przed wieczorem.

- Ładne mieszkanie, bardzo ładne - zachwyciła się od progu, jakby nigdy wcześniej nie widziała dziupli, w której wychowała dwu synów i spędziła sporo lat, zanim kupiła dom gdzieś na Bielanych.

Łucja nie pozwoliła sobie na panikę. Spokojnie wyliczyła wszystko, co obie z Bašką zrobiły, zanim nora, zapuszczona przez ostatnich lokatorów, stała się przytulnym mieszkaniem. Pozdzierały ręce do krwi przy malowaniu ścian, okien i cyklinowaniu podłogi, to raz. Dwa – nadszarpnęły własne oszczędności, wymieniając sedes, wannę i kuchenkę gazową. Gołąbkowa słuchała niezbyt uważnie.

- Ładne mieszkanko, i to w samym centrum!

- Rakowiec leży w centrum? – udała zdziwienie Łucja.

Zachwyt Gołąbkowej sięgnął zenitu. Bliskość Okęcia uznała za drobiazg w porównaniu ze szpalerem lip na Żwirki i Wigury oraz wspaniałym widokiem z okna. Wystarczyło wspiąć się na palce, żeby zobaczyć najprawdziwszy bór sosnowy w sercu stolicy. Łucja bez wspinania mogła cieszyć oczy zielenią drzew okalających Cmentarz Żołnierzy Radzieckich, ale nie upatrywała w tym nic szczególnego. Rzadko sterczała w oknie, choćby ze względu na uliczny hałas, a także na brak czasu. Z sekundy na sekundę zyskiwała pewność, że pokemon nie fatygował się bezinteresownie, a co gorsza, ten interes jest mocno podejrzanym. Nie od dziś wiedziała, że Gołąbkowa to kobieta średnich interesów i dużych szachrajstw... lub odwrotnie.

- Jedna firma szuka dokładnie takiego mieszkania dla zagranicznych gości – sapnęła właścicielka, rozwiewając wszelkie wątpliwości.

- Mamy umowę na trzy lata! – Głos Łucji zabrzmiał ostro i zdecydowanie.

- Toć wiem i w kwestii tej umowy przysłałam. Oni dają większe pieniądze niż wy. Wiadomo, zagraniczni.

- Niech pani nie grzeszy! Wzięłyśmy na siebie koszt remontu. Wszystko jest w umowie.

- Toć mówię, że w kwestii umowy przysłałam.

Nie dała się trzymać w ciasnym przedpokoju. Zajrzała do kuchni, uchyliła drzwi od łazienki, podreptała do pokoju. Nie mogła przeboleć, że tak łatwo zgodziła się obniżyć czynsz. Świdrowała chytrymi oczkami na lewo i prawo, węszyła, szukała, bo wiadomo: kto szuka, ten może czasem coś znaleźć.

- Matko przenajświętsza, a to co? - wybąkała, celując palcem prosto w Wiktusia.

- Pomoc naukowa - mruknęła Łucja.

W pierwszych dniach miesiąca Baśka przezornie ukrywała szkielet za zasłoną, więc jak dotąd Gołąbkowa nie miała okazji poznać Wiktusia. Teraz za to próbowała napatrzeć się za wszystkie czasy. Zmrużyła podpuchnięte oczy tak, że wyglądały jak dwie szparki, otworzyła usta i zastygła w pozie wielkiego zdumienia.

- Czy moje mieszkanie to urna albo cmentarz, żeby w nim nieboszczyków chować? Nie wynajmowałam lokalu szczątkom ludzkim! - wyszczała z oburzeniem.

- Wiktus nie jest żadnym szczątkiem. To urodzony kościotrup, fantom, dzieło rąk ludzkich. Rąk, rozumie pani?

Gołąbkowa wykrzywiła usta ze wstrętem, za to oczy zachowała chytre, czujne. Wycofała się do przedpokoju, niby wychodziła, ale wciąż stała w miejscu. Gapiła się na Łucję i najwyraźniej nie pochwałała zbyt krótkiej podomki i zbyt długich nóg dziewczyny. Widok nie był brzydki, wręcz przeciwnie, lecz uroda, jak wiadomo, jest sprawą gustu. Kobięcina przywykła do swojego odbicia w lustrze, więc wszystko, co smuklejsze, młodsze i zgrabniejsze, uznawała za nieprzyzwoite.

- Wierzy pani, że zagraniczna firma wynajmie kawalerkę na czwartym piętrze, i do tego ze ślepą kuchnią - zwątpiła Łucja.

Chciała tylko przerwać nieme oględziny, a całkiem niechcący poruszyła temat, który popłynął jak rzeka. Gołąbkowa, oczywiście, wierzyła, i to głęboko, że ma do zaoferowania najprawdziwszy apartament. Kręcone schody bez spoczników na półpiętrach pozwalały lokatorom zachować tężyźnię fizyczną, ślepe kuchnie zaś były kawałkiem historii, tej najnowszej. Gołąbkowa zaliczała je do największych osiągnięć polskich architektów okresu małej stabilizacji. Podobno władze polityczne, utożsamiane z oszczędnym Gomułką, wymyśliły, że wystarczy jedna kuchnia na piętrze dla trzech lokatorów. Architekci, w przeblasku geniuszu, zaprojektowali kuchnie w każdym mieszkaniu, tyle że małe i ślepe.

- Żeby to wiedzieć, trzeba znać historię - oświadczyła z dumą. Odwróciła się na pięcie i wreszcie wyszła, zostawiając lokatorkę w przekonaniu, że mieszkanie przy Baley'a jest cenniejsze od pałacowych luksusów.

Łucja nie chciała myśleć o podejrzanym wizycie, żeby nie psuć sobie dnia i nie zamartwiać się na wyrost. Stała pod prysznicem i pozwalała wodzie płynąć. Nic tak nie koi rozdrażnienia jak ciepła woda, myślała. Nie zdążyła jeszcze wytrzeć się do sucha, kiedy znowu usłyszała dzwonek, dla odmiany telefoniczny.

Kinga, naczelna „Tiramisu”, wybrała najgorszą porę do rozmów. Dzwoniła, by wymóc na Łucji przeróbkę cotygodniowego opowiadania, i to od ręki. Za godzinę chciała widzieć poprawiony tekst na ekranie redakcyjnego komputera. Nie słuchała protestów, mnożyła listę zarzutów, które należało uwzględnić w poprawkach. Płaciła i wymagała.

- Bohater nie może być głupszy od żony, bo nasze czytelniczki tego nie lubią - wyliczała. - I nie może uwodzić wszystkich dziewczyn jak leci. Jeżeli już chcesz pisać o zdradzie, to niech on pokocha jakąś laskę na boku, ale jedną, rozumiesz?

Tylko pamiętaj, po szczerzej rozmowie z żoną facet musi oprzytomnieć i wrócić na łono rodziny. I niech on tak strasznie nie cuchnie. Przypominam ci, że „Tiramisu” to tygodnik z wysokiej półki, właściwie najwyższej. Myślisz, że eleganckie czytelniczki zechcą czytać o jakimś śmierdzielu? Nasze na pewno nie.

Łucja podziwiała Kingę za tę absolutną pewność, dzięki której naczelna „Tiramisu” zawsze wiedziała, co czytelniczki chcą czytać, co lubią i pochwalają, a czego z całą pewnością nie zniosą na łamach swojego tygodnika. Wszystkie, zdanem Kingi, lubiły pogodne scenki ze szczęśliwym zakończeniem. Łucja pisała dla nich takie opowiadania, czerpiąc pełnymi garściami z własnych, czasem cudzych doświadczeń. Tym razem lichy ją podkusiło i bez upiększeń odmawiała wstrząsającą historię Doški. Jediną istotną zmianą było to, że Władek, mąż Doški, zginął w wypadku, a Maciek, mąż narratorki, wciąż żył. I ten żyjący mąż najwięcej namieszał, zwłaszcza psychologowi, który komentował zachowania bohaterów i udzielał fachowych porad. Kinga pieniała się ze złości.

- Zastanów się - podniosła głos. - Nie dajesz psychologowi żadnej szansy, zmuszasz go, żeby namawiał Ninę do rozwodu. Nasze czytelniczki są tradycjonalistkami, nie popierają zbyt radykalnych rozwiązań. Chyba wiesz, do czego zobowiązuje najwyższa półka?

- Do czystości - mruknęła Łucja, bo milczenie w słuchawce niebezpiecznie się przedłużało. Wyobraźnia podsunęła jej widok bardzo wysokich, zakurzonych regałów. Komu by się chciało wdrapywać ze ścierką aż pod sufit? Łucji na pewno nie.

- Mówisz o czystości moralnej? A wiesz, że to nieźła metafora - pochwaliła Kinga.

Odłożyła słuchawkę, zostawiając Łucję z poważnym dylematem, komu bezpieczniej podpaść: czy Oskarowi, który ledwie napomknął o jakiejś propozycji, czy Kindze, która dawała jej pracę i płaciła nie najgorzej.

Prawdę mówiąc, Łucja nie miała wyboru. Sięgnęła po laptop. Poranek nie wydawał się już taki piękny jak godzinę wcześniej. Zadzwoiła do Oskara, żeby odłożyć bądź przelożyć spotkanie. Początkowo upierał się, kwękał coś o castingu i o tym, że o dwunastej jego propozycja traci aktualność, ale nie z Łucją takie gadki.

- Rozumiem - powiedziała. - Nie było propozycji, nie musimy się spotykać.

Nie zdążyła dodać: „Cześć!”, a już wpadł jej w słowo, obiecał poczekać. Nie wiedziała, na czym mu zależało: na współpracy, czy na pochwaleniu się sukcesem, więc przyjęła, że ta druga hipoteza bardziej pasuje do Oskara.

Odszukała w laptopie opowiadanie, które tak silnie wzburzyło Kingę. Przerabianie dobrego tekstu, myślała, jest jak własnoręczne wbijanie zadry pod paznokieć: bolesne i bez sensu. A jaki sens ma przerabianie chamowatego brutalna na miłego faceta w typie czytelniczek „Tiramisu?” Ten gnojek pęka teraz ze śmiechu gdzieś w zaświatach. Wzdrygnęła się na wspomnienie upiornego Władka, przechrzconego w opowiadaniu na Maćka, i w tej samej chwili usłyszała za plecami przeciągły jęk, do złudzenia przypominający śmiech osła. Na szczęście to nie Władek rechotał, tylko sąsiad za ścianą wiercił kolejną dziurę, co znaczyło, że ranek upłynie przy akompaniamencie najprawdziwszej muzyki techno. Sąsiad, niestety, bardzo często tak wiercił, i to o różnych dziwnych porach. Z dwojga złego wołała już samoloty, które nad Rakowcem latały tak często, jak gołębie nad innymi osiedlami.

Praca nad tekstem szła ciężko. Nie wystarczyło zmienić jednego bohatera, trzeba było, do kompanii, zmienić wszystkich, przerobić zakończenie, a całemu utworowi nadać zupełnie inny wydźwięk, głębszy od pierwotnego, niestety. Łucja co chwila odrywała oczy od ekranu, żeby spojrzeć na zegarek. Kiedy wreszcie wstała od stołu, było tak późno, że zdążyła jedynie zadzwonić po taksówkę i pozapinać guziki przy bluzce. Wybiegając z domu, wcale a wcale nie przypomniała bóstwa, w które zamierzała się wcielić.

Sala na piętrze świeciła pustkami. Łucja była wściekła, że na próżno telepała się taki kawał drogi, i jednocześnie zadowolona, że Oskar jej nie widzi. Jeszcze by pomyślał, że to z tęsknoty za nim tak podupadła na urodzie! Usiadła w kącie plecami do wejścia, zamówiła kawę i wreszcie mogła logicznie pomyśleć. Los, przeznaczenie, nic innego. To los postawił na jej drodze Gołąbkową, potem Kingę. A dlaczego? To proste: żeby nie musiała oglądać triumfującego Oskara. Cóż takiego mógł jej zaproponować ten palant? Zresztą cokolwiek by zaproponował, i tak byłoby to poniżej godności Łucji. U wielkiego reżysera, na przykład u Mistrza, chętnie ustawiałaby dekoracje, byle tylko otrzeć się o filmową kuchnię, coś podpatrzeć, czegoś się nauczyć. A czego mogła się nauczyć od Oskara, który przez całe studia żerował na jej pomysłach?

Ledwie zdążyła się ucieszyć, że do spotkania nie doszło, ktoś zasłonił jej oczy. Nie słyszała kroków, poczuła tylko duże, męskie ręce na swojej twarzy.

- Oskar?

- Małemu Jasiowi wszystko kojarzyło się z czterema literami, tobie z pięcioma.

Roześmiała się i poderwała z krzesła, żeby uściskać Marcelego, jednego z najmilszych kumpli. Przy powitalnym miśku okazało się, że spotkanie wcale nie było przypadko-

we. Marcelli niósł wiadomość od Oskara, a więc w jakimś sensie był znakiem losu, który to los niczego nie odwołał, jedynie próbował przeciągnąć w czasie. Oskar chciał widzieć Łucję wczesnym popołudniem u siebie w domu. Zmarkotniała. Przez trzy miesiące zdążyła już zapomnieć, co dla niego znaczyło wczesne popołudnie. Gdy byli razem, zdarzało się, że sypiał do dwunastej, a wtedy wczesne popołudnie mocno zahaczało o wieczór. Nie miała ochoty odwiedzać go w domu, zwłaszcza wieczorem.

- Kiepsko wyglądasz, balowałeś w nocy? - zainteresował się Marcelli, moszcząc sobie poduszkę na ławie.

- Między balami czasem jeszcze pracuję. Ostatnio poważnie pracuję.

- W sobotę urządzam grilla, wpadnij z Bašką - powiedział. - Steve chce z tobą pogadać.

- Wiem, kim jest Baška i dlaczego chcesz ją widzieć, natomiast nie mam pojęcia, na kogo teraz mówimy Steve?

Steve okazał się nową zdobyczą towarzyską, bardzo cenną, bo nafaszerowaną dolarami. Nikt nie wiedział dokładnie, ile miał kasy, lecz musiał mieć dużo. Mieszkał w Stanach, zajmował się produkcją filmów, co, jak wiadomo, nie jest profesją biedaków. Polskie kino nie było mu obce, nie mylił szkoły polskiej z kinem moralnego niepokoju, miał swoich ulubionych reżyserów i aktorów, ale interesował się przede wszystkim młodymi twórcami.

- Równy facet - zapewniał Marcelli. - Znasz go, musisz go znać, byliście na jakiejś wspólnej balandze.

- W życiu!

- Przedrinkowałeś i nie pamiętasz.

- Akurat. Mogę nie pamiętać wszystkich twórców włoskiego neorealizmu, zgoda, ale nadzianego producenta zza oceanu na pewno bym zapamiętała. Najwidoczniej to on przedrinkował i coś pomylił - westchnęła z żalem. - Nie

znam producentów krajowych, co dopiero zagranicznych. Gdybym tylko wiedziała, skąd wyszarpnąć forszę, kręciłabym filmy. Co z tego, że mam bombowy pomysł, jeżeli szczęście zarechotało nie do mnie?

Marceli oczywiście słyszał o filmie Oskara. Dużo ludzi z paczki słyszało, bo Oskar bardzo przeżywał swój debiut, jednak nikt nie wiedział, o czym to będzie film i za czyje pieniądze zostanie nakręcony. Podejrzewali tak i siak, trochę fantazjowali, jak zwykle w sytuacjach, gdy nic do końca nie jest wiadome. Łucja nie czuła się na siłach, by dźwigać dłużej ciężar niezaspokojonej ciekawości. I choć pół godziny wcześniej obiecywała sobie, że nie pojedzie na spotkanie z Oskarem, to nagle jednym haustem dopiła kawę i zaczęła się bardzo śpieszyć, żeby nie przegapić tej zagadkowej pory, którą on nazywał wczesnym popołudniem.

Z „Samych fusów” na Długą nie było daleko. Rodowity warszawiak, być może, rozglądałby się za taksówką lub autobusem, ale nie Łucja, która nawet leniwego Oskara przyzwyczała do spacerów. Szła rażnym krokiem i próbowała przemyśleć kilka spraw. W głębi duszy trochę zazdrościła kolegom. W przeciwieństwie do niej wydawali się urzędzeni w zawodzie i pewni siebie. Co do Marcelego nie było wątpliwości: od początku studiów miał sprecyzowane zainteresowania i poza teatrem nic się dla niego nie liczyło. Dzięki wstawiennictwu Mistrza dostał ciekawą propozycję nowego odczytania Fredry i od września zaczynał pracę w teatrze. Był zachwycony, a Łucja cieszyła się razem z nim. Natomiast kariera Oskara wydawała się kpina losu, jawną niesprawiedliwością. W przeciwieństwie do Marcelego Oskar posiadał talent w ilościach śladowych. Gdyby nie powtarzał w kółko, że go ma, nikt by się nie domyślił. Najgorsze jednak było to, że Oskar nie czuł literatury ani filmu, nie potrafił opowiadać słowami ani obrazami. Jedyne, co go naprawdę

fascynowało, to kino akcji, zwłaszcza zaś filmy z pościgami samochodowymi. „Ktoś, kto klasę filmu mierzy ilością zło-
mu, powinien zostać rajdowcem albo monterem”, powie-
dział kiedyś Mistrz. Oskar nie był mocny w wyciąganiu
wniosków, pośmiał się i dalej studiował reżyserię.

Co ja w nim widziałam oprócz imienia? – zastanawiała
się Łucja. Wszystko przez to imię. Każdy filmowiec marzy
o Oscarze, a ja go sobie zdobyłam pierwsza. Na oko niezła
statuetka, tylko bardzo trudna we współżyciu.

Coś jej jednak w duszy szeptało, że sama siebie okłamuje.
Był czas, kiedy szalała za Oskarem, a że potem jej przeszło,
to już całkiem inna historia.

Bez specjalnych sentymentów wchodziła do wieżowca,
w którym nawet nie zdążyła się zasiedzieć. Dopóki wynaj-
mowali różne klitki i kawalerki, dopóty była szczęśliwa.
Urządzała je i upiększała po swojemu, co Oskarowi odpo-
wiała. Mieszkanie warszawskie było prezentem od jego
rodziców. I nagle Oskar zaczął bardzo pilnować, żeby Łucja
nie zawałała wewnątrz swoimi drobiazgami. Na każdym nie-
mal kroku sprowadzał jej obecność do roli gościa hotelowe-
go. Czy można się wzruszać na wspomnienie hotelowego
życia? Naciskając guzik dzwonka, Łucja czuła się wolna, raz
na zawsze wyleczona z mieszkania i jego lokatora.

Oskar trochę się zmienił i bodaj wyprzystojniał. Włosy
ściął bardzo krótko, tuż przy skórze i podobnie potraktował
wąsy. Zostawił na twarzy jedynie cień zarostu, rodzaj oprawy
dla bardzo ładnych ust i zębów. Patrzył na Łucję po swoje-
mu, to znaczy ironicznie i spode łba.

– Świetnie wyglądasz! – powiedział.

– Nie wysilaj się – mruknęła nieprzychylnie. – Jestem
zmęczona, nie mam ochoty na żarty.

– Hm... Przy mnie nigdy nie byłaś taka wymoczona –
przyznał z uśmiechem, który Łucję wkurzył jeszcze bardziej
niż przesadne zachwyty nad jej wyglądem.

Gestem ręki zaprosił ją do pokoju. Zagłębiona w fotelu, patrzyła obojętnie na pogrzebaną raz na zawsze miłość swojego życia. Sama była zdziwiona, że to, co uważała za wielkie uczucie, tak szybko zmieniło się w wielką obojętność.

Oskar z dużą pewnością i swobodą rozprawiał o filmie. Nie kręcił go dla siebie, tylko dla widza, więc uwzględniał tak zwany gust zbiorowy, o którym wiedział nadspodziewanie dużo. Jak wykazują sondaże, perorował, współczesny widz przepada za pościgami, mordobiciem, a także twardą męską gadką, i dobre kino musi mu to wszystko zapewnić. Nawet seks nie jest już taki ważny jak kiedyś, chociaż trudno sobie wyobrazić film bez dwóch, trzech numerków. Przewidywał jeden, za to ostro jak brzytwa.

Łucja słuchała z coraz większym przygnębieniem. Goto wa była zazdrościć Oskarowi, chociaż jeszcze dwa, trzy lata temu gardziła komercją. Miała kilka niezłych pomysłów, w tym jeden na groteskę poświęconą Gałczyńskiemu, ale nikt nie chciał ich kupić. Mistrz chwalił, zachęcał do wytrwałości i na tym koniec. W czasach, kiedy najwięksi reżyserzy bokowali się o pieniądze, tylko cud mógł sprawić, że któryś z producentów chciałby promować debiutantkę. Odłożyła ambicje na czas bliżej nieokreślony, co nie znaczy, że zrezygnowała z nich zupełnie.

Oskar zawsze szedł na skróty i tym razem chyba wygrał. Co z tego, że kręcił jeden z tych głupich filmików, o których zapomina się natychmiast po skończeniu projekcji? Liczyło się, że to on kręcił, a jej proponował zagranie tytułowej roli. Niewielkiej co prawda, lecz na tyle ważnej, że miała szansę stać się kultowa. Zapewniał, że wokół pływaczki kręci się cała akcja, zbrodnie, pościgi i tak dalej. Kult w wydaniu Oskara też musiał być płaski jak cała reszta.

- Odbiło ci!? - spytała zaskoczona.